

Kronika tygodniowa.

Pierwsza połowa posta czterdziestodniowego, który jednak trwa nieco dłużej, zwłaszcza zaś w obecnych warunkach, już minęła, według zapowiedzi powinien więc kronikarz zacząć przygotowywać Czytelników do zbliżających się świąt Wielkiejnocy, czyli, innymi słowami, nastroić swą kronikarską łutnię na nieco weselszy ton, niż to było dotychczas.

Ale łatwo to powiedzieć, a daleko trudniej w czyn wprowadzić, już choćby tylko z tej przyczyny, że owe przedświąteczne przygotowania sprawiają każdemu tyle kłopotów, iż niejednen z ojców rodziny nie miałby nic przeciw temu, gdyby wszelkie święta, a zwłaszcza te, do których trzeba się przygotowywać, boda by tylko na czas wojenny z kalendarza usunąć.

W czasie postnym powinno się było śpiewać gorzkie żale i jeść śledzie, tymczasem stało się zupełnie inaczej. Nie śpiewał ich nikt w tym czasie, gdyż uprzykrzyło mu się ich nucenie przez rok cały, nie jadło się też i śledzi, gdyż ich chwilowo brakło, choć nasz magistrat miał podobno założyć własną ich fabrykę nad Rudawą i powołał nawet na jej fachowego kierownika jakąś wybitną, bo nie pozbawioną protekcji siłę, z roczną pensją kilkanaście tysięcy koron. Na razie założenia fabryki stanął na przeszkodzie brak odpowiedniego gatunku ryb w obu Rudawach, to jest w nowej i starej. Ponieważ zaś śledzie można sprowadzać głównie z krajów neutralnych, robiących nam tem doskonałe interesy, nawiązano w tym celu rokowania dyplomatyczne i miano nawet wysłać specjalne komisye, aby sprawę zbadały na miejscu i złożyły pełnej Radzie wyczerpujące sprawozdanie, ale wszystko utknęło znowu z powodu braku gotówki w kasie miejskiej po przeprowadzeniu snacyi miejskich funduszów przez pana Onyszkiewicza.

W ten sposób cała sprawa, jak to mówią, zjadła śledzia.

Skoro zaś w wielkopostnym czasie nie było śledzi, ergo nie będzie też i na Wielkanoc tego, co z nią jest ściśle połączone, więc od jaja począwszy, na świątecznych delikatach, mazurkach i babkach skończywszy. Będzie więc wówczas dana każdemu sposobność odśpiewania gorzkiego żali, zamiast weselnego „All huj“.

Temat ten, który teraz poruszył m. jest zresztą tak niewdzięczny, iż bynajmniej nie zdziwiłbym się wcale, gdyby cenzura skreśliła go z urzędu. Jest to bowiem „robienie złości krwi“ i drażnienie niepotrzebne ogółu. Wobec tego na reki do tego nie przyłożę niech każdy przygotowuje się do nadobudowania świąt, jak mu się żywie podoba. Ostatni lata wróty już nas do tego przyzwyczajały, że zamiast śledzi h bab na stole, widzi się baby ze skwaszonymi mięsami dookoła stołu i żyje się tylko wspomnieniem tego, co było, przeszło, a niewiedomo kiedy wróci! Jak zresztą zabierać się do jakichś prac przedświątecznych, ot, damy na to, choćby tylko do takiego na pozór głupstwa, jak upieczenie zwykłego placaka przekładanego, gdy brak ciągły maki, jaj, cukru, drożdży i innych dodatków, niezbędnych do tego w myśl rozporządzenia ś. p. Cwierzakiewiczowej. Nawet nie będzie marmolady, mogącej zastąpić konfitury, gdyż zamknięto na Podgórzu jej fabrykę, prowadzoną wprawdzie bez koncesyi, ale zato postępowo a oszczędnie, wszelkie bowiem gatunki owoców zastępowały tam najzupełniej zwykłe pastewne buraki, służące dotąd do karmienia bydła, a teraz nie mogące znaleźć innego praktycznego zastosowania, gdy, dzięki odnośnej centrali, galicyjskie bydło obchodzi się już bez jedzenia, albowiem samo zostało zjedzone, ale przeważnie nie przez nas, lecz przez kochających nas sąsiadów.

Zupełnie zaś to samo, co o owym placaku, przekładanym wojenną marmoladą, można powiedzieć i napisać i o innych świątecznych smakolitykach, które w tym roku mogą odtyć chyba we wspomnieniu.

Dobrze się zresztą stało, że tegoroczne święta, wprawdzie tylko drugi ich dzień, przypadają na pierwszego kwietnia, każdy więc spoglądnie na pusty talerz i powie sobie: „Prima Aprilis!“

Ale dość już tych prawdziwie gorzkiego żali. Porzucam ten niewdzięczny temat, zabierając się do właściwej kroniki.

Zauważ jednak to uczynię, muszę się wytłumaczyć, dlaczego tak nagle zerwałem z polityką, której poświęciłem niepodzielnie całe dwie kroniki.

Stało się to z dwu powodów. Pierwszym, który był nawet ważniejszym od drugiego, był jeden mój znajomy, a raczej jego żona. Pochwaliła mnie wprawdzie, że taką napisałem kronikę, którą nawet dwa razy wraz z swym małżonkiem przeczytała. Ale ponieważ on ma bardzo czułe serce i ze wzruszenia spłakał się biedaczyno, prosi, by nadal takich tematów nie poruszać.

— Pan łaskawy — mówiła — wie chyba jak teraz o mydło trądam, a mój mąż, nieboraczek, czytając pańską kronikę, dwie, powiadam panu, dwie chustki najzupełniej zbrukał, a nawet i ręcznikowi się coś dostało, ale mn go jeszcze na czas odbrałam!...

Tłumaczyłam się, jak mogłam:

— Nie rozumiem tego, pani dobrodziejko, jak można, płaczac, powalać łzami aż dwie chustki i ręcznik... Poeci nazywają wprawdzie łzy „gorzkiemi“, ale nigdy „czarnemi“...

— Tak! Tak!... Ale mój stary farbuję sobie wąsy, a chyba nie trzeba kochanemu panu mówić, że teraz i wojenne farby dyabła są warte... — odpowiedziała, a ja jej musiałem przyznać zupełną rację.

Drugim powodem, ale już zupełnie innej natury, były owe białe plamy, jakie wystąpiły na jednej z poprzednich kronik. Są to oznaki tyfusu plamistego, wywołanego przez bakterję, znaną w medycynie pod nazwą *bacillus censualis*. Ponieważ zaś tyfus jest, jak również każdemu zapewne wiadomo, chorobą zażliwą i bardzo łatwo może być „zawleczonym“, każdy zaś, kto się do tego przyczynia, naraża się na pociągnięcie do odpowiedzialności, ewentualnie zaś na „izolowanie“, wolę więc na przyszłość być ostrożnym, choć zapewniam, że kroniki pisuję tylko antyseptycznym atramentem.

Ale z panem „fizykiem“ nie oplaci się zadzierać! Jasna zresztą rzecz, że co się jednemu podoba i to nawet tak, iż nad tem płacze aż „do puszczenia farby“, drugiemu może się nie podobać i tak, a nie inaczej stało się w tym właśnie wypadku.

Przyznaję się ze skruszą, że nawymyślałem może zadużo dyplomatam ale cóż ja jestem temu winien, że się pomylili?... Wszak oni są tylko ludźmi i mają po dwie nogi (zda mi się, że żaden z nich nie nazywa się *Dreifussem*) a nawet wół choć ma cztery nożyska, nieraz się potknie i upadnie. Zbyczyli, ale miejmy nadzieję, że się na przyszłość poprawią. W tej myśli przechodzę nad nimi do porządku dziennego, który „wielkiej“ polityki ani tknie, co najwyżej pozwolę się kronikarskiemu pióru zapuścić w sprawy miejskie, to jest domowe.

A ten temat nie jest tak drażliwy. O to nie pogniewa się nikt, zwłaszcza, że osobistości z zasady nie tykam, do władz zaś, nawet autonomicznych, jako od Boga także pochodzących, odnoszę się z należytym respektem... Jeżeli zaś dotknę czasem jakiej drażliwej kwestyi, czynię to tak delikatnie, iż nawet interesowany, czytając me wywody, musi powiedzieć, bodaż w duchu:

— A jednak ma rację!...

Zaczynam więc od wyboru prezydenta miasta Krakowa, iako mu się to słusznie należy, jeśli nie z wieku, to w każdym razie z urzędu.

W poprzedniej kronice nie mogłem sobie na to pozwolić, gdyż w tym czasie, gdy nowy pan prezydent wychodził z urny wyborczej, *Nowości Ilustrowane* wychodziły z pod prasy drukarskiej, a choć wyraźnie zaznaczyłem, że wybranym będzie ten, kto ma być, nie mogłem przecież nic dokładniej powiedzieć, boć nie jest wykluczonem, że przecież może się w międzyczasie zdarzyć niespodzianka. A o niespodzianki teraz nie trudno. Ładne zaś mieliby Czytelnicy wyobrażenie o kronikarzu, który napisał o wyborze prezydenta i wyliczył jego zasługi, a tymczasem pokazało się, że z urny wyszedł zupełnie kto inny...

Byłaby z tem ta sama historia, co z owym reporterem, który, pisząc sprawozdanie z odczytu, wysilił cały swój poetycki talent na to, by określić, z jaką znajomością rzeczy rozwinął prelegent zawiłą sprawę, z jaką przemawiał swadą, w jakim zaciekawieniu przysłuchiwało się liczne audytorium jego uczonym wywodom, gdy tymczasem w tem samem piśmie, ale w wieczornem wydaniu, pojawia się notatka tej treści:

„Wczorajszy odczyt prof. X. Y. nie mógł się odbyć z powodu nagłej niedwspoczyty prelegenta. Odłożono go na następną niedzielę.“

Otoż, by się uchronić od podobnej niespodzianki, wolę o wszystkim pisać *ex post* i nie uprzedzać wypadków.

Habemus papam! Na stole prezydyałnym w pałacu Wielopolskich zasiadł wyjątkowo nie adwokat, ani nawet doktor, ale przedstawiciel krakowskiego mieszczaństwa, zarazem jeden z filarów krakowskiej demokracji.

Jak pan Jan Kanty Federowicz będzie rządził miastem, to już jego rzecz, przypuszczać przecież należy, że mu na dobrych chęciach służenia rodzinnemu miastu i siłach, potrzebnych do tego, bynajmniej nie zbywa. Stosunki miejskie dobrze zna, był bowiem z ś. p. prezydentem Leo, jak to mówią „jedną grabą“ i też się może liczyć do twórców Wielkiego Krakowa, chociaż zaś nie jest z zawodu adwokatem, ale tylko kupcem, powinien właśnie dlatego pokazać, że miastem rządzić niegorzej potrafi.

Bo tylko w Krakowie utarło się mniemanie, że prezydentem powinien być co najmniej doktor, o ile możności prawnik, w najgorszym razie medycyny. We Lwowie są innego zdania. Tam bismistrzował lakierownik, blacharz, kowal i drukarz, a każdy robił co do niego należało i działał dla miasta może nawet więcej, niż niejednen bardzo uczony prawnik.

Świat się podobno demokratyzuje ale ciągle przecież wylazą na wierzch jakieś arystokratyczne nawyczki i te wstrętne:

— A fela!... Nie wypada!... Co na to Indzie powiedzą...

Nowemu prezydentowi życzy kronikarz w swem i Czytelników imieniu powodzenia na nowem, a tak odpowiedzialnem, zwłaszcza w obecnych czasach, stanowisku, na które sam miał apetyt.

Dziś, gdy już po wszystkim, mogę się do tego przystąpić że jakiś czas nosiłam się z myślą ubiegania się o fotel prezydyałny, w czem, nie wątpię, byłiby mnie gorąco poparli P. T. Czytelnicy, a zwłaszcza płeć nadobna, która tyle daje mi zawsze dowodów uznania. Jeśli tego nie uczyniłem, to tylko z tego powodu, iż do składu Rady miasta dotąd jeszcze nie należę, a nie wiedziałem czy statut miejski pozwala na wybór poza nią stojącego osobnika. Wiem już, że pozwala, ale dowiedziałem się o tam po niewczasie. Zresztą był i duża przeszkoda, pewnego rodzaju *imped mantum impeditus*. O wyborze decyduje krakowska demokracja, silnie się kupy trzymająca i ona mianuje prezydenta. Ja zaś, na moje nieszczęście, do tej partii nie należę, ale jestem sobie „dzięk“, do żadnego stronnictwa otwarcie się nie przyznaję, uznając natomiast, co w którym dobre, a wytykając co złe. Gdybym jednak mógł żywić nadzieję, że zamysły moje będą mogły doprowadzić do zrealizowania, kto wie, czy nie byłbym się nawet i zdecydował do przejścia na krakowsko-demokratyczne wyznanie polityczne.

To dziś mądre, bo popłatne!

A przyznam się, że nie tylko z chęci służenia miastu byłbym się ubiegał o ten zaszczyt, bo to jest idealne zapatrywanie się na sprawę, a ja jestem zwolennikiem polityki realnej, to jest, iż chciałbym też i coś mieć za to, że się dla ogółu trudzę. Chyba zaś przyznają mi rację nawet i w sprawie tej interesowani...

Pozatem byłbym tę promocję uważał za pewnego rodzaju rekompensatę za różne niepowodzenia, jakie mnie już w życiu spotkały i jeszcze spotkają. Ot, znowu uciekła mi z przed nosa nagroda z fundacyi Nobla, choć byłbym wziął pierwszą z brzęgu, niekoniecznie tylko pokojową... Byłbym się zrzekł nawet i złotego medalu, byle tylko wypłacili gotówkę, w jakiegokolwiek mającej obieg walucie, niechby nawet w ukraińskich karbowanach!...

Ale znów fiasko!... Na przeszkodzie stanął mi pan Rymont, ale ja sobie i z tego nic nie robię i powiadam, że prawdziwa zasługa nigdy nie zostanie prawdziwie ocenioną. Pamiętam jednak zawsze święte słowa naszego pana fizyka: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na on hu“ i to miue ratuje i utrzymuje w równowadze duchowej i... czekanin.

Czekam więc i to nie tylko na ową nagrodę, ale i na makę z Ukrainy, choć straciłem już zupełnie nadzieję doczekania się tak jednej, jak i drugiej. Co do owej maki, to powiedziano już wcześniej, że nie będzie z niej z pewnością chleba.

Aby uświetnić wybór nowej głowy miasta i upamiętnić tę uroczystą chwilę, postarano się przedewszystkiem o to, aby odtąd chleb wojenny posiadał piękny złoty kolor, tak, aby w danym wypadku mógł łatwo zastąpić świąteczny jajecznik. W tym celu, choć przednowek jeszcze właściwie daleko, ma się odtąd wypiekać chleb z odpowiednią domieszką maki kukurudzianej, która ma nam zastąpić pszeniczą, obiecaną z Ukrainy, jeśli będziemy siedzieć cicho i nie będziemy rządowi centralnemu robić trudności.

Na Ukrainie było dość zboża, a z niego, przynajmniej przed wojną, robiło się makę, ale na to zboże nie tylko my mieliśmy apetyt. Najlepiej wychodzi zwykle ten, kto jawi się pierwszy, nasza zaś szersza ojczyzna nigdy się nie spieszy i tem przypomina pociąg kolei lokalnej, który przychodzi ostatecznie na miejsce, ale z zasady z kilkogodzinnem opóźnieniem.

I teraz podobno tak się stało. Kto inny zabrał zboże i będzie miał makę, a my będziemy łapę lizać i cieszyć się... kartami maczno chlebowemi.

Równocześnie, być może także *ex re* wyborem nowego prezydenta, podwyższono ceny jazdy tramwajów. Podwyższenie to motywuje się podwyższeniem płac funkcyjaryuszów tramwajowych, ale jest i inna wersja, która głosi, że w ten sposób ma się bodaż częściowo załatać ową dziurę, jaką w miejskiej kasie zrobił pan Onyszkiewicz.